

## **KNIHOMAM.CZ**

### ***Jak się znalazłam w kwarantannie***

*Przekład: Anna Wanik*

Ta historia przytrafiła mi się już pięć lat temu, ale w związku z maskami i paniką wokół koronawirusa przypominałam sobie, jak kiedyś sama znalazłam się w kwarantannie. I nie dlatego, że bym hołdowała jakiemuś ryzykownemu zachowaniu, absolutnie nie. Byłam zwykłą studentką, która czasem chodzi na imprezy, ale raczej zdrowo je, regularnie ćwiczy, ma po prostu świetną odporność i o chorobach zakaźnych nie ma zielonego pojęcia.

Wprawdzie właśnie zaczynała się wiosna, ale na zewnątrz było paskudnie. Postanowiłam, że poprawię sobie humor i pójdę na niedaleki basen. Zwykle kąpię się w lecie, na łonie natury, ale ponieważ jestem żywiołem wodnym pomyślałam, że właściwie szkoda, że poza sezonem w ogóle nie pływam. Wygrzebałam okulary do pływania, chwyciłam strój kąpielowy, ręcznik i klapki i ruszyłam na miejscową krytą pływalnię.

Dwa pasy były puste, więc zadowolona wskoczyłam na główkę do wody i rozpoczęłam dwukilometrowy dystans. To uczucie było tak piękne, że nagle miałam dwadzieścia razy lepszy humor. Wręcz tak dobry, że spróbowałam kraula, którym zwykle nie pływam, bo się boję, że będę wyglądać, jakbym się topiła. Możecie sobie wyobrazić sytuację, w której ratownik skacze do was do wody, a wy musicie mu tłumaczyć, że nic wam nie jest, tylko ćwiczycie kraula? No dobra, przyznaję się, już raz mnie to spotkało. I nie był to żaden beach boy z wyrzeźbionym ciałem, ale około pięćdziesięcioletni tatusiek, który jeszcze na mnie krzyczał, dlaczego pływam na głębokiej wodzie, skoro nie umiem. Więc rozumiecie, jak bardzo zaskoczyłam samą siebie, kiedy spróbowałam kraula.

Pełna radości usiadłam jeszcze na dziesięć minut do jacuzzi i skończyłam swój wellness day w saunie. Potem wzięłam prysznic, umyłam włosy i trochę się upiększyłam. Czeka mnie dziś jeszcze jeden wykład, więc lepiej żebym nie wyglądała jak wodnik, prawda? Wzięłam rzeczy z szafki i już szykowałam się do wyjścia, kiedy zauważyłam, że mam 15 nieodebranych połączeń! Co się do cholery dzieje? Tyle nieodebranych rozmów w życiu nie miałam! Siedem połączeń było od mojego chłopaka Lukáša, 4 od współlokatorki Katki i 4 z nieznanego numeru. Nim zdążyłam się namyślić, nieznanym numerem zadzwonił znowu.

– Słucham? – odebrałam telefon z trochę przestraszonym głosem.

– Míková, dzień dobry, wojewódzki inspektorat sanitarny – odezwało się w słuchawce.

– Osoba, która zachorowała na wirusowe zapalenie wątroby typu A zgłosiła panią jako bliską osobę, która mogła zostać zarażona.

– Co takiego? – powiedziałam przerażona.

– Nie trzeba panikować – uspokajał głos w słuchawce. – Proszę jutro o 9.00 rano przyjść do nas do jednostki, gdzie zrobimy szczegółowe testy. Do tego czasu proszę nie odwiedzać żadnych miejsc publicznych typu baseny ani sale gimnastyczne i proszę się postarać nie używać toalety i prysznicza poza domem.

– Aha, dobrze. – Odparłam i szczeka mi opadła. Czyli po stu latach idę na basen i od razu roznoszę jakąś straszną chorobę o której aż do teraz myślałam, że ją mają bezdomni i ćpuni. Od razu zadzwoniłam do mojego chłopaka Lukáša, który mi przekazał, że do niego też już dzwonili z sanepidu ale nie wie, kto by mógł być tą bliską osobą. Do trzech razy sztuka: odkryłam, że również trzecie nieodebrane połączenie dotyczy tego samego problemu. Była to nasza współlokatorka Katka, do której również dzwonili z sanepidu.

– Podobno dzwonili też do Tomáša – powiedziała mi przez telefon – z naszego mieszkania została już tylko Sandra, która nie odbiera ode mnie telefonu.

– Myślisz, że to ona jest chora? – spytałam od razu.

– Pewnie tak. No bo kto inny, skoro dzwonili już do wszystkich z naszego mieszkania?

Olałam wykład i po drodze z basenu kupiłam butelkę wina i trzy pizze. Jeśli złapaliśmy żółtaczkę, musimy ostatni raz porządnie zjeść. Od razu przeczytałam w interencie, że jeśli potwierdzą u nas chorobę, czeka nas brutalna dieta wątrobowa, która może oznaczać zero alkoholu, nic tłustego i nic mięsnego. Nie, żebym jakoś tego pożądała, ale raz na jakiś czas każdy lubi zgrzeszyć.

Siedliśmy ze wszystkimi współlokatorami w naszej kuchni, jedliśmy pizzę i popijaliśmy ją winem. I uwaga, nie był to jabol z kartonu! Ponieważ wyjątkowa sytuacja wymaga wyjątkowych rozwiązań, kupiłam butelkę za całe dwie dychy, czego nigdy w studenckich latach nie zrobiłam.

– Wiecie, jak się zawsze na wszystkich pijatykach mówi, że spotkamy się w kolejce do onkologa? – spytał Tomáš i wziął łyk wina. – Powinni to zmienić na: spotkamy się w wojewódzkim inspektoracie sanitarnym.

Wszyscy strasznie się z tego śmialiśmy i potem każdy z nas zrobił sobie w Photoshopie swoją podobiznę z żółtą cerą, żeby trochę poluzować napięcie i się uspokoić.

– I tak chyba nie powinniśmy pić z tej samej butelki, nie? – pytała Katka.

– A czy to nie wszystko jedno? – dotykamy tej samej klamki w toalecie i jeśli Sandra naprawdę jest na to chora, to pewnie my wszyscy też, – Tomáš zaśmiał się zrezygnowanym i wymuszonym śmiechem. Sytuacja dla niego też nie była przyjemna, ale jako wieczny optymista nie chciał dolewać oliwy do ognia.

– To ty nie myjesz rąk po ubikacji?

– Myję, ale myślę, że ponieważ Sandra w zeszłym tygodniu gotowała nam od razu trzy kolacje, to jesteśmy w niezłej dupie.

– Hm, to prawda – wzruszyła ramionami – No dobra, czyli jak muszkietierowie, jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

Siedzieliśmy do jakiejś jedenastej, potem poszliśmy spać, żeby tę poranną masakrę mieć już za sobą. Ku naszemu zdziwieniu rano spotkaliśmy się z kolejnymi dziesięcioma osobami, a ponieważ wśród nich była również siostra Sandry, Lenka, wszystko stało się jasne.

W sanepidzie pani Míková nas poinformowała, że testy będą gotowe w ciągu dwóch dni. Jeśli będą pozytywne, mamy od razu jechać na oddział zakaźny do szpitala wojewódzkiego. Nawet jeśli będą negatywne, jeszcze nie wygramy. Potem czeka nas 50 dni kwarantanny, bo ta choroba ma strasznie długi okres inkubacji.

– I przez tych 50 dni nie będziemy mogli wychodzić? – Spytał Tomáš.

– Na zewnątrz oczywiście będziecie mogli wychodzić. Ale nie możecie nikomu przyrządzać posiłku, w miejscach publicznych nie możecie korzystać z toalety, ani nigdzie brać prysznic. Najlepiej będzie, jeśli odpuścicie sobie wizytę na basenie, w klubie fitness i centrum wellness, ograniczcie też kilkudniowe wycieczki z noclegiem – podsumowała higienistka i każdemu podsunęła papier.

– Tutaj macie wszystko opisane. Musicie to podpisać i wszystkiego przestrzegać, łamanie zasad kwarantanny jest karalne.

– A co mamy robić w szkole? – krzyknęła Katka – czasami mamy wykłady i seminaria od rana do wieczora, a ja nie wytrzymam całego dnia bez sikania...

– Spytamy kierownictwo waszego wydziału, czy dałoby się na kolejnych pięćdziesiąt dni wydzielić dla was jedną toaletę i zabronić do niej wstępu pozostałym studentom.

Nie zostało nam wszystkim nic innego, jak tylko podpisać i skruszeni ruszyliśmy do domu. W ciągu godziny dzwoniła do nas pani Digimonová z działu ds. studenckich. To znaczy – nie nazywała się Digimonová, to było jej przezwisko. Nie znosiła bowiem elektroniki i kilka razy rozesłała studentom maile przeznaczone dla wykładowców. Nie mniej jednak telefon ogarniała brawurowo i od razu nas poinformowała, że na podstawie zaleceń sanepidu wyznaczono dla nas toaletę dla niepełnosprawnych na trzecim piętrze. I tak w chwili obecnej nie mamy żadnych ludzi na wózkach na wydziale, więc możemy korzystać z tej toalety. Przynajmniej to mamy załatwione. Kiedy dostaliśmy zawiadomienie z sanepidu, że wszyscy jesteśmy negatywni, szaleliśmy z radości. To świetne wiadomości, teraz zostaje tylko przeżyć 50 dni kwarantanny.

Na popołudniowe seminarium z matematyki już musiałam iść. Jestem na jednym roku z Katką, chłopaki są rok wyżej. I oczywiście kuropatwa Katka musiała w połowie zajęć iść do toalety. Dobrze, że nam ją uniwersytet wydzielił. Kiedy przybiegła z powrotem, od razu mnie szturchnęła.

– Stara, musisz to zobaczyć. Na drzwiach jest wielki napis kwarantanna, wstęp wzbroniony a pod spodem ten żółty trójkąt biohazard, jaki zawsze jest na filmach! To pewnie sprawka Digimonovej, to jej wychodzi. Ona kocha wszystkie te katastroficzne filmy, jestem pewna, że ma więcej takich magnesików.

– Ale jest większy problem – ciągnęła Katka – pierwszoroczniaki widziały, jak tam idę. I od razu zaczęli na mnie pokrzykiwać, czy wczoraj dezynfekowano szkołę przez nas i że podobno mamy trąd.

– I co im na to powiedziałaś?

– Że byliśmy na Erasmusie w Afryce i mamy ebolę.

– Głupia jesteś – pokręciłam głową.

Wielka epidemia eboli trzęsła mediami w zeszłym roku. Teraz już była chyba zażegnana, ale ludzie dalej trochę się bali i może to było powodem, dlaczego byli tak przerażeni z powodu zwykłej żółtaczki, na którą się nie umiera.

W trzy dni rozniosło się po szkole, że mieszkanie nad piekarnią, czyli nasze, jest w kwarantannie. Dodatkowo wszyscy studenci dostali mail, który zwracał uwagę na ryzyko żółtaczki i na konieczność regularnego mycia rąk. W toaletach pojawiły się środki do dezynfekcji i studenci zaczęli panikować. Nie, żeby ktoś sprawdził, jak się ta choroba przenosi. Krótko mówiąc wbili sobie do głowy, że nie można się do nas zbliżyć na mniej niż pięć metrów, inaczej się zarażą. Na porannym wykładzie wokół mnie i Katki wytworzył się krąg, studenci woleli siedzieć na schodach w sali wykładowej, niż usiąść na krzesłach niedaleko nas.

Wszyscy patrzyli na nas zupełnie zniesmaczeni, a do najgorszej sceny doszło, kiedy kupiliśmy z Katką w szkolnej kawiarni bagietki i poszliśmy je zjeść do atrium. Miejsce było tylko przy stole na sześć osób. Kiedy usiadliśmy, dwie studentki siedzące obok spojrzały na nas zniesmaczone, wstały od stołu i odeszły, choć ewidentnie nie dokończyły swojego jedzenia. Chciało mi się płakać. Czyżbyśmy były parszywe? Przecież nawet nam nic nie dolega. Nie mamy żadnej choroby, jest zaledwie jakiś nikły procent, że coś nam dolega! To takie niesprawiedliwe!

Tomáš wieczorem opowiadał, że kiedy przy centrum handlowym wsiadł do autobusu i usiadł koło Zdeny z katedry designu, ta wstała i poszła na drugi koniec autobusu. Potem wyjęła żel antybakteryjny i zaczęła czyścić ręce i robiła grymasy, jakby na rękach miała końskie łajno.

Najgorsze było to, że kiedy z Katką opuszczaliśmy budynek wydziału, spotkałyśmy dwie studentki, które jak tylko nas zobaczyły, włożyły na usta lekarską maseczkę. Tego już nie wytrzymałam i zaczęłam płakać. Katka mnie pocieszała, żeby nie zwracać uwagi, że są głupie, ale czy to moja wina, że wszystko za bardzo biorę do siebie? Kiedy przyszedłam do mieszkania z zapłakanymi oczami chłopaki się zdenerwowali, chwilę coś szeptali, po czym Tomáš odwrócił się do nas i powiedział:

- Jutro o 12 w atrium. Zapraszamy was na obiad, który sami przygotowujemy.
- Przecież nie możemy dla nikogo gotować – spochmurniała Katka.
- Dla nikogo zdrowego – śmiał się Tomáš – ale dla tych, co mają kwarantannę, jak najbardziej.

Trochę się uspokoiłam. Muszę przyznać, że fajnie, że nie jestem w tym sama, w przeciwnym razie pewnie by mi odbiło. Całe nasze mieszkanie zdezynfekowałam w taki sposób, że się dziwię, że żaden z lokatorów jeszcze nie dostał jakiejś wysypki. Ani jeden wirus, bakteria czy inny pasożyt tam nie przeżyje. W nas też z pewnością nie rozwinie się żadna choroba. Następnego dnia szłam do szkoły zupełnie spokojnie. Przedpołudniowe seminarium zleciało raz dwa, dzięki założeniu, że na obiedzie nie dojedzie do żadnej żenady, że będziemy jeść wszyscy razem, wreszcie po kilku dniach czułam się dobrze. Kiedy wchodziłyśmy z Katką do atrium, omal nie padłam, jak zobaczyłam, jaką niespodziankę chłopcy przygotowali.

Lukáš z Tomášem stali przy wielkim stole, gdzie na wielkim talerzu było rozłożone sushi! Dalej stał sos sojowy, wasabi i imbir w miseczkach, nie zabrakło też pałeczek. Wszystko uzupełniał napis: „Tylko dla żółtaczkowców w kwarantannie”. Zaczęłyśmy się śmiać i od razu pobiegłyśmy do chłopaków.

– Proszę się częstować: sushi maki z awokado, tuńczykiem czy łososiem? – spytał Lukáš i uklonił się jak szef kuchni w restauracji z gwiazdką Michellina. Natychmiast ponakładałam sobie wszystkiego po trochu i zaczęłam się siłować z pałeczkami. Czasem wprawdzie kupujemy do domu jakieś azjatyckie jedzenie albo sushi, ale z pałeczkami ciągle jeszcze mam problemy. Katka była pod tym względem jeszcze gorsza, udało się jej upuścić jeden kawałek sushi na ziemię.

– Cholera, mam nadzieję, że ta podłoga od tego nie żółknie – śmiała się, jakby właśnie spowodowała apokalipsę.

Po chwili dookoła zaczęli się gromadzić studenci z naszej katedry.

– Uuu, co macie? Sushi? Mogę się poczęstować? – Spytał od razu Čenda z trzeciego roku.

– Nie możesz stary, sorry – powiedział Tomáš – podpisaliśmy papiery, że nie będziemy gotować dla nikogo zdrowego. Moglibyśmy potem mieć przez to kłopoty.

– Kurde, Tom, ale ja jestem szczepiony na żółtaczkę, to chyba mogę wziąć, nie?

– To przynieś zaświadczenie o szczepieniu i możesz brać – zgasił go Tomáš. W ten sam sposób spławili chyba siedmiu studentów, z wyjątkiem Khuonga, naszego wietnamskiego kolegi.

– Ej, chłopaki, mi nie możecie odmówić – śmiał się Khuong – jestem Wietnamczykiem i od zawsze mi mówią, że jestem żółty, więc chyba należę do klubu żółtaczkowców, nie?

– Dobra, to dość oryginalne, nie mogę na to nic powiedzieć, bo oskarżyłbyś mnie o rasizm – roześmiał się Tomáš i nałożył mu kilka kawałków na talerzyk.

– Ale to na własną odpowiedzialność, jasne?



– Jasne – śmiał się i nalał na swoje sushi solidną porcję sosu sojowego, co jest tylko kolejnym dowodem na to, że poza wyglądem Khuong jest zwykłym Czechem.

– Słuchaj, a nie będziecie robić jakiejś żółtej imprezy? U was na chacie zawsze są legendarne biby!

– Moglibyśmy – powiedziała Katka poważnie – i zaprosimy tylko tych, którzy albo są żółci, albo zaszczepieni.

– Mógłbym zabrać całą rodzinę, co wy na to? – rżał Khuong a my musieliśmy do niego dołączyć, bo nic się nie może równać z rasistowskimi żartami, które opowiadają na swój temat sami Wietnamczycy. Kto by pomyślał, że akurat oni tak chętnie z siebie żartują.

Całe wydarzenie było bardzo dobrze przemyślane przez chłopaków, ponieważ pokazało absurd tego, jak się nas wszyscy brzydzą. Nam pokazało to, że jesteśmy zupełnie normalni, zdrowi i tylko przestrzegamy zaleceń dotyczących kwarantanny. Nie było powodu, żeby którykolwiek ze studentów w jakikolwiek sposób panikował, przesiadał się czy histerycznie smarował żelem antybakteryjnym.

– No to już jestem z powrotem – wołał Čenda od drzwi atrium. – Mam to zaświadczenie – krzyczał przejęty i machał nad głową kartką. Mieliśmy jeszcze dużo sushi, chłopaki podobno robili je całe przedpołudnie i przygotowali cztery wielkie arkusze alg, więc chętnie się z Čendą podzielili. Bóg jeden wie, jak teraz wygląda nasza kuchnia, strach pomyśleć, ale efekt jest po prostu wspaniały. Trzeba przyznać, że nawet ryż im się udał!

W końcu przy naszym stole zatrzymała się Lenka z pierwszego roku, siostra Sandry, z którą spotkaliśmy się w wojewódzkim inspektoracie sanitarnym.

– Cześć, idziesz na sushi? Dla kolegów żółtaczkowców dziś wszystko za darmo  
– zaintonował Tom.

– Cześć. Ja bardziej... Idę z powodu siostry – powiedziała ostrożnie – Ona się strasznie wstydzi i czuje się zażenowana, że was wciągnęła w taką sytuację.

– Masz na myśli kwarantannę? – zaśmiał się Tomáš – póki co nikt z nas nie zachorował, więc nie wiem czemu mielibyśmy być na nią wkurzeni. A nawet, gdybyśmy to złapali, to nie sądzę, żeby nas zaraziła celowo.

– No... opowiadałam jej, jakie są w szkole środki zaradcze i jak się wobec nas zachowują inni studenci. Siostrę to rozwaliło i tym bardziej się wstydzi do was napisać.

– Jezu, co za bzdura. Mówię, to nie jej wina...

– A czy w ogóle wie, jak to złapała? – spytała Katka.

– W przedszkolu, gdzie uczy angielskiego, zachorowało dwoje dzieci. To pewnie tam, małe dzieci nie myją za często rąk, a ona z nimi gra w różne gry... I raz dwa gotowe – powiedziała Lenka i włożyła do buzi kawałek maka z ogórkiem.

– Hm, a to durny pech. Jak ona się czuje?

– Fizycznie już lepiej, psychicznie pewnie kiepsko. Pomyślałam, że może będziecie chcieli do niej zadzwonić? Spytała ostrożnie.

– Zadzwonię i dam na głośnomówiący, co wy na to?

Lenka wykręciła numer do siostry i kiedy wszyscy zaczęliśmy się witać z zaskoczoną Sandrą i tłumaczyć jej, że ta nasza kwarantanna to właściwie niezła beka i założyliśmy elitarny klub żółtaczkowców, uspokoiła się i śmiała razem z nami. Nawet zrobiliśmy dla niej zdjęcie sushi i wysłaliśmy kilka zdjęć z żółtej imprezy, którą tego wieczoru urządziliśmy. Sandrę wypuścili ze szpitala po 14

dniach i choć musiała jeszcze przez prawie rok trzymać dietę, paradoksalnie cała sytuacja jej pomogła. Przez to, że się strasznie stresowała szkołą miała prawdopodobnie dość słabą odporność i dlatego zaraziła się od dzieci ze szkoły. Dzięki tej chorobie odpoczęła i nauczyła się, żeby nie przejmować się wszystkim za bardzo. Nikt z nas nie zachorował, po 50 dniach kwarantanna się skończyła. Do dziś całą tę sytuację wspominamy z uśmiechem. Bo ze wszystkiego trzeba umieć żartować, inaczej życie byłoby nic nie warte. Ważne jest przestrzeganie zasad higieny, ale nie na przekór zdrowemu rozsądkowi.